



KSIĘGARNIA INTERNETOWA

„Kto czyta książki, żyje podwójnie...”

Opowiadania nadesłane na
Konkurs Literacki
organizowany przez selkar.pl

Białystok 2014

Spis treści

Kilka słów wstępu	3
Anna Drabikowska A co było dalej?.....	4
Anna Dąbrowska Nauka czytania	9
Wierosława Gawryś Niedokończona opowieść	12
Andrzej Górka Po zawodach	17
Iwona Jarocka Świat należy do śmiałych.....	19
Jarosław Słoma Składnica	24
Paulina Drąg Upadek okcydentalnej książki.....	26
Karol Szczerba Pan	28
Mikołaj Jankowiak Biblioteczka.....	30

Kilka słów wstępu

Mamy przyjemność zaprezentować Państwu zbiór opowiadań, które zostały przesłane na Konkurs Literacki organizowany przez Księgarnię Internetową selkar.pl z okazji Dziesięciolecia Istnienia. Wybraliśmy według nas najlepsze i najciekawsze prace spośród wszystkich nadesłanych.

Wszystkim Uczestnikom konkursów zorganizowanych z okazji naszych urodzin serdecznie dziękujemy za wzięcie udziału i wspólną zabawę. Liczba osób, która razem z nami uczciła to ważne dla nas wydarzenie przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania.

Mamy nadzieję, że nasze 15., a nawet 20. urodziny będziemy również razem świętować i to w jeszcze większym gronie.

Zespół selkar.pl

Anna Drabikowska

A co było dalej?

- Dawno, dawno temu...
- Jak dawno temu: wczoraj czy przedwczoraj, czy jak byłam malutka? – zapytała Tola.
- Chyba jeszcze wcześniej, skarbie. To musiało się zdarzyć, gdy twoja praprababka była małą dziewczynką.
- A jak się nazywała moja praprababka?
- Nie jestem pewna. Jedna, o ile dobrze pamiętam, nazywała się Pelagia.
- A czy Pelagia to też moja praprababka? – do dyskusji dołączył Pawełek.
- Tak, synku, jesteście z Tolą rodzeństwem, a to znaczy, że macie tych samych przodków.
- Tych samych „przypadków”? – zdziwił się chłopiec.
- Nie „przypadków”, tylko „sprzodków”, bo stoją „z przodu”, czyli na początku rodziny, czyli dawno, dawno temu, jak przeczytała mamusia – rezolutnie wyjaśniła Tola.
- „Przodków”, kochanie, choć ta twoja geneza wydaje się być trafiona.
- Mamo nie mów „geneza”, ja mam tylko siedem lat! – podirytowała się dziewczynka.
- No właśnie, a ja pięć i pół – zauważył Pawełek - czytajmy lepiej książkę, zamiast rozmawiać o jakichś „sprzodkach” i ganezach”
- Dobrze – zgodziłam się – Dawno, dawno temu...
- Kiedy praprababka Pelagia była małą dziewczynką... – wtrąciła Tola - Mamo, a gdy praprababka była małą dziewczynką, to nazywano ją Pelagia, czy jakoś zdrobniale?
- Może „Pela”?
- Aha! Czyli: „kiedy praprababka była małą dziewczynką i nazywano ją Pela, a nie Pelagia.” I co dalej, co dalej? Dlaczego cały czas nie czytasz, co było dalej?
- Zatem, kiedy praprababka Pela była małą dziewczynką, „na skraju lasu, w niewielkiej chatce żyło sobie rodzeństwo: Jaś i Małgosia”.

- A dlaczego nie może być Tola i Pawełek, co? – zapytała moja córka.
- Właśnie! Dlaczego? – wtórował jej młodszy brat z nadąsaną miną.
- Może być Tola i Pawełek. – dałam za wygraną – Tak właśnie nazywało się rodzeństwo, które żyło w małej chatce na skraju lasu.
- To tak jak my! Też jesteśmy Tola i Pawełek i żyjemy w Grabówce na skraju lasu! – ucieszył się mój synek.
- Rodzice Toli i Pawełka byli biednymi ludźmi – próbowałam kontynuować.
- I nie mieli pieniędzy na gumę do żucia.
- Ani komiksy.
- Ani gazetkę Barbie.
- Ani lizaka, co kolorowi język na niebiesko.
- Ani strzelającą oranżadkę.
- Ani na książeczki z Selkaru z obrazkami.
- O nie! – przeraziła się Tola – Ależ oni nie mieli szans na normalne dzieciństwo!
- No cóż! Pewnie nie było im łatwo – zauważyłam – Przeczytam wam, co było dalej. Tatuś Toli i Pawełka był drwalem.
- Szkoda, że nie bibliotekarzem – stwierdził Pawełek, a minę miał zamyśloną i poważną.
- A mama? Czym się zajmowała? – zapytała Tola.
- Nie jest tu napisane – odpowiedziałam.
- Może modelingiem? Skoro nie mieli pieniędzy, to w domu nie było, co jeść, aż zrobiła się zupełnie chuda, tak chuda, że wyglądała jak Anja Rubik. Bedna!!!
- Tu jest napisane... – nie dawałam za wygraną – że rodzice Toli i Pawła, faktycznie, byli tak biedni, że w domu brakowało jedzenia. Słuchajcie. „Kaszy i mąki starczyło im zaledwie tyle, by wykarmić co najwyżej dwie osoby, dlatego pewnego, słonecznego ranka stary drwal postanowił wysłać dzieci do lasu po jagody, hen daleko. Wiedział, że są za małe, by odnaleźć drogę powrotną do domu.”
- Już chyba nigdy nie pójde z tatusem do lasu – stwierdził Pawełek.

- Daj spokój, widziałeś jak dużo mąki jest w szafce w kuchni. Może tylko grochu tam nie ma, ale jak będzie trzeba, to tatuś kupi, bo nie jest biednym drwalem, a księgowym. – wytłumaczyła bratu Tola.

- I grzybiarzem – dodał chłopiec.

- Ale tylko jesienią.

- Czytać dalej? – zapytałam.

- Tak, tak! – odpowiedziały dzieci.

- „Tola i Pawełek nazbierali cały garnuszek jagód i poziomek, kiedy nagle zaczęło zmierzchać.”

- Zmie..., co? – zapytał Paweł

- „Zmierzwiać”, czyli przyszedł „zmierzw”, czyli słońce szło spać i budziła się noc.

- „Zmierzchać” – poprawiłam nieco już zniecierpliwiona – „Dzieci próbowały odnaleźć dróżkę, która prowadziła do ich domu, ale bez skutku. Błąkały się po lesie, aż zrobiło się całkiem ciemno. Wtem, między drzewami zauważyły światełko. Kiedy podeszły bliżej okazało się, iż w oddali stoi samotna chatynka w środku lasu. Gdy były już całkiem blisko, zauważyły, że chatynka ta jest zbudowana z piernika.

- Babcia mówi, że dziadek Jerzyk to stary piernik – powiedziała Tola – Jak sądzisz, mamusiu, stary piernik jest smaczny?

- Chyba nie, raczej czerstwy, tak twardy, że można na nim ząb złamać.

- Ale ta chatka nie była ze starego piernika, tylko z pierniczków w czekoladzie z marmoladą w środku, prawda?! – zapytał Pawełek.

- Albo z pizzy – dodała Tola.

- I kalafiora.

- Faj, ja nie lubię kalafiora!

- A ja ryby. Chatka nie była z ryby, co mamusiu?

- Nie, chatka była cała ze słodczy: z czekoladek, cukierków, żelek, lizaków i ciasteczek – odpowiedziałam.

- Żarłbym – stwierdził Pawełek.

- „Dzieci były bardzo głodne, więc dobiegły do chatki co tchu i zaczęły ją zjadać” – próbowałam czytać dalej.

- Żarły, aż uszy im się trzęsły. – dodał chłopiec – Wyobrażasz sobie, Tolka, jak to musiało wyglądać, jak się im te uszy same trzęsły.

- „Wtem z chatynki dobiegł straszliwy głos wiedźmy: Kto tam?! Kto tu przyszedł i niszczy mój dom?”

- Mamo, a dlaczego w tym ślicznym, słodkim domku z młodego piernika mieszkała wiedźma? A może tam mieszkała jednak dobra, leśna wróżka we wrzosowej sukience, co? – zaproponowała Tola.

- Nie, to nudne. W chatce mieszkała straszliwa jędza, która miała jedno oko, kwadratową pupę i pypeć na języku – z przekonaniem stwierdził Paweł.

- Może masz rację, synku, bo tu jest napisane, że wiedźma była „tak brzydka, że na jej widok aż łzy do oczu same napływały”.

- Wolałabym wróżkę, ale to też brzmi interesująco. Co było dalej?

- Zła wiedźma schwytała dzieci, zamknęła je w klatce na trzy spusty i zagotowała wrzątek w wielkim kotle, ponieważ planowała zrobić z nich potrawkę.”

- I wtedy właśnie pojawiła się wrzosowa wróżka, która uwolniła Pawełka i Tolę.

- Nie, wtedy pojawił się dinozaur i tak przestraszył wiedźmę, że uciekając, aż portki zgubiła.

- Albo inaczej: Tola zrozumiała, że jest rycerką, jak Joanna d’Arc z filmu, co wczoraj był w telewizji.

- Albo Grażyna z książki takiego polskiego poety – wtrąciłam.

- O nie! Na pewno nie Grażyna. Może ty jesteś Grażyna, mamusiu. – oburzyła się Tola – Rycerka Tola uwolniła Pawełka i księcia, którego zła wiedźma zamknęła w lodówce.

- Ja chcę być rycerzem! – zezłościł się Pawełek

- Może oboje będziecie rycerzem i rycerką, co wy na to? – próbowałam zapobiec kłótni.

- I wtedy rycerz Pawełek walną łomem i wiedźma się go przestraszyła...

- Przestraszyła się tak bardzo – kontynuowała Tola – że zupełnie straciła głowę i wskoczyła do garnka z wrzącą wodą.

- Ale ja nie powiedziałem, że odciąłem jej łomem głowę.

- Miałam na myśli, że ta wiedźma zgłupiała i dlatego wskoczyła do garnka.
- Aha! Musiało być jej strasznie gorąco.
- Wtedy rycerka Tola i rycerz Paweł pomyśleli, że choć czarownica jest zła i brzydka, to może trzeba dać jej szansę na poprawę.
- Postanowili uratować, tą wiedźmę..., jak ona miała na imię?
- Pumpernikla, straszliwa wiedźma Pumpernikla.
- W uratowaniu Pumpernikli pomogli: dinozaur, wrzosowa wróżka i świnka Peppa.
- Wiecie co, kochani? Może dzisiaj nie będziemy już czytać więcej. – zaproponowałam - Dzisiaj napiszemy swoją własną bajkę. Co wy na to?

Dzieci oczywiście zgodziły się. Wyjęłam zeszyt z czystymi kartkami i rozpoczęliśmy pisać swoją własną książkę. Od tej pory nie tylko codziennie czytaliśmy, ale też dopisywaliśmy kolejną, niesamowitą historię do naszego wspólnego dzieła. Znalazły się w nim bajki: o olbrzymie niejadku, który gubił zęby i wyglądał jak krasnal, o Królowej Makaronowej I z pieczarkowej pieczary, o Zombie ze strychu, o poczciwym wilku, co bał się buńczucznego zajączka, o psotliwych roztoczach, które mieszkają w pierzynie i wiele, wiele innych, a w każdej z nich, z jakiegoś powodu, występowali: bardzo waleczna rycerka Tola oraz, budzący postrach wśród gnomów, rycerz Pawełek.

Anna Dąbrowska

Nauka czytania

Może niełatwo w to uwierzyć, ale koty i myszy potrafią być najlepszymi przyjaciółmi. Umieją żyć w zgodzie, dzieląc ze sobą radość i smutki. I o takiej przyjaźni właśnie będzie ta opowieść.

- Poczytałbym coś – mruknął Ryszard. Ryszard był rudym puchatym kotem o pięknych zielonych ślepiach.

- W czym więc problem? Książek mamy w domu po dostatkiem, a nasi ludzie co chwilę przynoszą nowe. – zapytał Pan Tupejko, który był małą japońską myszką, białą w czarne łatki.

- Przecież wiesz, że bardzo słabo czytam, nie umiem dobrze rozpoznawać liter i wszystko mi się miesza. Właściwie to tak naprawdę nie umiem czytać.

- Mogę Cię nauczyć, to nic trudnego! - zaproponował Pan Tupejko.

- Mógłbyś? Naprawdę? - kot aż zamruczał z zadowolenia.

Ryszard i Pan Tupejko znali się od dawna i byli najlepszymi przyjaciółmi. Ryszard uratował kiedyś Pana Tupejkę przez złymi kotami, a Pan Tupejko nie raz pomagał kotu w upalny dzień odkręcić kran z zimną wodą. Ogólnie rzecz biorąc, pomagali sobie zawsze i zawsze też mówili sobie dziękuję. Obaj byli niezwykle dobrze wychowani i gdyby byli ludźmi, na pewno uznano by ich za nie lada dżentelmenów.

- Pewnie, że cię nauczę. – odpowiedział Pan Tupejko – Możemy zaczynać od zaraz!

I zaczęli naukę czytania, a właściwie naukę liter. Na początek, oczywiście.

- Pierwszą literą alfabetu jest litera A – powiedział Pan Tupejko i wskazał literę A w gazecie, która dziwnym trafem (z pewnością przy małej pomocy puchatej kociej łapki) nieco wcześniej spadła ze stołu. - A jak arbuz. – dorzucił Pan Tupejko.

- Ale arbuz jest okrągły, nie wygląda jak A. Wygląda jak ta litera. – Kot wskazał łapką literę O.

- Litery nie muszą przypominać rzeczy, chociaż masz rację, że arbuz wygląda jak O, bo jest okrągły i pękaty. To może teraz B, czyli druga litera alfabetu. B jak balon.

- Znowu! Balon powinien zaczynać się na O, bo jest jak arbuz, okrągły i pękaty - rzekł Ryszard.

- Ale balon jest na B, nie na O! Nie możemy zmieniać alfabetu, Ryszardzie!

Kot jednak nie był do końca przekonany. Dopiero dwie literki, a on już był nieźle pogubiony.

- Jaka jest następna litera? - zapytał kot.

- C. Jak cebula. - odpowiedział Pan Tupejko.

- Ale cebula też jest okrągła jak balon i arbuz! I też nie zaczyna się na O! - Kot wyraźnie posmutniał. W jego głowie wszystkie literki zlały się w jedno okrągłe i pękate O.

- Jak mam się dobrze nauczyć wszystkich liter, skoro nie umiem ich odróżniać? - żalił się kot.

- Znajdziemy jakiś sposób żebyś wiedział, która literka jak wygląda i jak się nazywa. Zaczniemy jeszcze raz - zaproponował Pan Tupejko. - Litera A to zawsze dwie kreseczki, które u góry pochylają się ku sobie, zaś w poziomie jest jeszcze jedna kreseczka, które je ze sobą łączy.

- Pan Tupejko wskazał jeszcze raz literę A w gazecie, a następnie stanął na tylnych łapkach i całą swoją niewielką postać zaprezentował kotu literę A. Ryszard powtarzał mysie ruchy. Gdybyście tylko mogli ich zobaczyć! Kot i mysz wyginający się w przedziwne kształty, zupełnie, jakby tańczyli jakiś nikomu nieznany taniec.

Pan Tupejko omówił już cały alfabet i mimo zmęczenia zaczął tłumaczyć kotu, jak należy łączyć ze sobą litery. Najpierw czytał słowa z gazety, powoli i wyraźnie, a kot powtarzał po nim. Pan Tupejko tłumaczył kotu wszystkie zawilości, omawiał trudniejsze wyrazy oraz litery, które zdążyły już wyparować z kociej głowy. Te dziwne lekcje czytania, które w istocie przypominały lekcje tańca lub pantomimy, zajęły przyjaciółom wiele dni.

Pan Tupejko okazał się niezmordowanym i bardzo wytrwałym nauczycielem, kot Ryszard zaś, niezwykle pojętnym uczniem, mimo tego, że zanim przystąpił do nauki, miał wiele wątpliwości, czy da sobie radę.

Wspólnie przeczytali kilka gazet - to oczywiście w ramach ćwiczeń i rozwijania umiejętności. Przeczytali również trochę książek, które Pan Tupejko uznał za szczególnie ciekawe na początek czytelniczej przygody. Przeczytali więc najpierw kilka klasycznych bajek. Kot był szczególnie zauroczony historiami z "Tysiąca i jednej nocy". Prawie po ogon pochłonęły go bajki z różnych regionów Polski oraz legendy i stare opowieści. Nie dało się go od tego oderwać, mimo iż Pan Tupejko nalegał, aby Ryszard zabrał się za literaturę dla nieco starszych czytelników. Wzięli się więc za książki przygodowe, aż wreszcie dotarli do wielkich dzieł współczesnych pisarzy. Kot nie wyściubiał nosa zza lekko pożółkłych kart.

- To jak wielka wspaniała podróż, w czasie której możemy odkryć cały świat! - powiedział w zachwycie kot. - Nie mogłem dostać od przyjaciela lepszego prezentu niż nauka czytania. Dzięki tobie nauczyłem się tak wiele. Dziękuję!

- Ależ Ryszardzie, nie ma za co. To była sama przyjemność i miły obowiązek. I ja dzięki naszym wspólnym lekcjom dużo się nauczyłem. Znowu mogłem zajrzeć do moich ulubionych książek. Tobie także należą się podziękowania - rzekł Pan Tupejko.

I tak od tej pory Ryszard i Pan Tupejko każdy wolny wieczór (kiedy akurat nie zrzucali niczego ze stołu, albo nie gonili się po domu) spędzali na czytaniu i długich rozmowach na temat przeczytanych książek. A ludzie tylko dziwili się tej przyjaźni, bo jak to jest możliwe żeby koty i myszy żyły ze sobą w zgodzie....

Wierosława Gawryś

Niedokończona opowieść

Kroki na korytarzu ucichły. Poszła sobie. Ubrała mnie w czarne potargane szatki, nautykała ozdobników i zawijasów i zostawiła wśród biegających chaotycznie megabajtów, różnych, niekoniecznie ważnych, informacji. Wokół mnie wirują sprawozdania, strzępki zaczętych statystyk, a między nimi wije się, jak ogromny wąż wielka ilość obrazów. To wszystko otacza kakofonia dźwięków, które ONA nazywa muzyką. One, te dźwięki... No, cóż... ONA je lubi, więc ja też polubiłam. Właściwsze jednak byłoby użycie określenia - przyzwyczaiałam się do nich. Jęczące głosy, ostre gitarowe riffy, jazgoczący odgłos perkusji. Lubię to, a czy mam inne wyjście? I tak muszę tu tkwić i czekać, aż ONA wróci i zainteresuje się mną oraz moimi zdeptanymi uczuciami. Najgorsze jednak są przepływające postacie. A to jakiś wampir wpatruje się głodnymi, czerwonymi oczami w moje małe literki, chcąc wyssać iskrzące w nich resztki życia, choć tak naprawdę nie może nic zrobić. A to banda rzezimieszków przebiega po mnie nie zwracając uwagi na to, że tu jestem i resztkami sił trzymam się życia. Depczą zawzięcie niewydrukowane stronicie mojego jestestwa, zabijając we mnie to, co dla mnie najważniejsze - siłę do walki.

Tkwię tutaj już drugi rok. Zamknięta, zabezpieczona durnym hasłem, zapomniana, głodna nowych wydarzeń, ale ONA ma gdzieś moje uczucia. Jest wечно zmęczona, zajęta swoją pracą, zagubiona między kuchnią, a biurem i w ogóle nie ma ochoty na mnie patrzeć. Czasem tylko... O właśnie...

Idzie tu. Zbliża się.

Siada przy biurku i włącza komputer.

- Hej! Tu jestem! - krzyczę, pełna nadziei, że może wreszcie zaczniesz mnie szukać.

Ale nie! Znowu ominęła moją kryjówkę, kliknęła w pomarańczowo niebieską, okrągłą ikonkę i jak zwykle przegląda jakieś głupie strony internetowe, z równie głupimi informacjami, mało gustownymi ciuchami i tą swoją jazgotliwą muzyką.

Chciałabym w tej chwili zmienić się w wirusa, opanować jej świat, zniszczyć te wszystkie pliki, które zaprzatają jej umysł i odwracają uwagę ode mnie. Jakże pragnę przebić się przez miliony bajtów, wyciągnąć dłoń i udowodnić jej, że żyję. Może pomyślicie, że jestem złośliwa i zawistna, zazdrosna o te wszystkie przejrane strony. Nie. Nie jestem taka. Mam tylko świadomość, że zginię tutaj, przysypana służbowymi papierami, aż wreszcie ktoś wrzuci mnie do kosza, razem z moją treścią i moimi bohaterami.

Nie mogę. Nie mogę się ruszyć. Uwięzłam tutaj, przygnieciona danymi. Mogę tylko bezgłośnie krzyczeć, albo cierpieć w milczeniu, aż wreszcie piorun, woda lub zwykła awaria systemu spowoduje, że sobie tutaj umrę w ciszy.

- Pisarka! - mruknęłam z przekąsem.

Jak ONA w ogóle ma czelność tak o sobie mówić. Przecież pisarz ma za zadanie pisać, a nie zajmować się cholernym Facebookiem, czy innymi bzdurami.

- Przestańcie tu łazić! Ja tu sobie cierpię! - pożałowałam się dwóm młodym wilkołakom, którzy właśnie tu znaleźli sobie miejsce na uprawianie zapasów. Żeby chociaż na mnie spojrzeli! Ale nie. Przetoczyli się po mnie jakbym była powietrzem, czy rzuconym na chodnik kawałkiem zapisanej kartki. Bezrozumne gnojki.

Zerknęłam kątem oka na zegar. Jest 22⁰⁰. ONA siedzi przy biurku. Twarz ukryła w dłoniach spod których wypływały mokre krople. Gdybym nie był taka wściekła, to pewnie zrobiłoby mi się jej żal. Czy ja jednak wiem, co to jest współczucie. Przecież jestem tylko plikiem tekstowym. Jej marzeniem. Książką, którą kiedyś chciała napisać.

Zaraz.

Co ona robi!

Patrzy na mnie! Na mnie!!!

Wreszcie będę mogła powiedzieć jej to co czuję. Ze wzruszenia odebrało mi mowę.

- No i co ja mam z tobą zrobić? - pyta.

Nie wiem czy to mówi do mnie, czy do siebie, ale odpowiadam jej cicho:

- Zajmij się mną. Napisz mnie. Chcę stać się całością. - żebrzę

- Kiedy nie wiem co mam pisać, straciłam natchnienie. - odpowiada zdumiona.

Ona mnie słyszy. Mnie! Swoją niedokończoną powieść!

- Pomogę ci. - mówię szeptem.

- Naprawdę spróbujesz? - pyta z niedowierzaniem.

- Spróbuję. - odpowiadam.

- Zaraz ale czy ja naprawdę gadam z laptopem! - wydyszała wąpiąc w stan swojego umysłu. - Przecież laptopy nie mówią, a już na pewno nie konwersują z ludźmi!

- Nie jestem laptopem do cholery! - wybuchłam. - Jestem twoją powieścią, a ty zabierz się wreszcie do pisania, bo ja tu konam z nudów!

Po mojej tyradzie Wiktoria rozejrzała się podejrzliwie wokoło, jakby szukając źródła tajemniczych głosów.

- No i czego się rozglądasz! Oprócz mnie i ciebie i nikogo tu nie ma!

Słyszałam bicie jej serca. Mocne szybkie uderzenia, będące wyrazem niewyobrażalnego strachu.

- Czy ja zwariowałam? - spytała samą siebie, a może mnie...

- Nie zwariowałaś. - odpowiedziałam jej szorstko. - Tylko ja tu wariuję!

Oddech Wiktorii nieco się uspokoił.

- Nawet jeśli tracę zmysły, nie zmienia to faktu, że masz rację. - stwierdziła posępnie.

- Jeszcze raz ci mówię! Nie tracisz zmysłów. Mam rację, ale co z tego, że ją mam. Ty już straciłaś do mnie serce. Twoja pasja umiera, a jak ona umrze, umrę i ja.

ONA wpatruje się we mnie. Chciałabym dać jej jakiś znak. Powiedzieć, że jestem prawdziwa, i że to ja do niej mówię.

- Nie dam rady dzisiaj pisać. - Podniosła do ust swojego drinka. Jestem zmęczona i... chyba już nie potrafię.

Z dużym wysiłkiem udało mi się siłą umysłu nacisnąć przyciski na klawiaturze i skleić kilka zdań. Odetchnęłam ulgą. Żyję. Znowu mogę oddychać. Wszystko jest na właściwym miejscu. Mijają godziny, a ONA rytmicznie stuka w klawiaturę dopisując kolejne wątki.

- Zaraz, Wiktorio, co robisz? Nie możesz zabić mojej ulubionej bohaterki!

- Zamknij się wreszcie! - burknęła do mnie. - Chciałaś żebym pisała, to piszę. To ja tu jestem pisarką!

- Taaa! Pisarką! Jesteś żalosną imitacją pisarki! - sapnęłam.

- Mam w dupie to, co o mnie myślisz! Zrobię jak zechcę, a ty nie masz nic do powiedzenia.

Zrobiło mi się przykro. Nie chcę z nią walczyć. Gdybym miała oczy byłyby zapewne mokre od łez. Obraziła moje uczucia. Nie liczy się z moim zdaniem, a przecież to dzięki mnie odzyskała swoje natchnienie. Żebym chociaż miała ręce... Wbrew wszystkiemu w tej chwili chciałabym zostać sama i nie widzieć jej zaciętej twarzy. Postanowiłam już się nie odzywać. Jakiś zawieruszony między dokumentami smok machnął gwałtownie ogonem i o mały włos nie zdmuchnął mnie z pulpitu.

- Uważaj ćwoku gdzie latasz! - fuknęłam pod nosem, a on odwrócił się i rozejrzał. Wyglądało to tak, jakby mnie usłyszał.

- Do ciebie mówię, ty paskudna, wirtualna kreaturo!

Smok usiadł i opuścił skrzydła. Jeszcze chwila, a wkręci się na waleta pomiędzy linijki mojego tekstu.

- Czego się na mnie drzesz! Obydwoje jedziemy na tym samym wózku! - powiedział spokojnie.

- Nie rozumiem? - spytałam cicho.

- A co tu jest do rozumienia. Jestem częścią ciebie. Jeszcze jeden zapomnianym kawałkiem tej samej powieści.

Gdybym miała oczy (ale nie mam z wiadomych powodów) rozwarłabym je szeroko. Tymczasem on kontynuował:

- Myślałaś że jesteś sama? - spytał, a ja tylko z powodu nieposiadania głowy nie mogłam nią kiwnąć.

- Ile nas jeszcze jest?

- Nie wiem. Poćwiartowała cię na części. - odpowiedział. - Popatrz tam. Między tymi ikonami z muzyką, błdzi kot. On też jest nasz, tylko o tym jeszcze nie wie.

Rozmowa ze smokiem stała się przyjemną odmianą po tych wszystkich kłótniach z, pożałuj Boże, pisarką. Polubiłam go. Znalazłam mu nawet miejsce pośród moich postaci. Był ważnym ogniwem łączącym wątki.

- Ale czemu wcześniej się nie odnalazłeś i nie odezwałeś? - zapytałam.
- Bo byłem osobnym dokumentem, rzuconym między opowieści o wiedźmach, a opisem zamków Szkocji. Dopóki nas nie połączyła, nie słyszałaś mnie.
- Rozumiem. - odpowiedziałam, choć właściwie nie było to dla mnie jasne, po co tworzyć osobne pliki dla jednej powieści.

Smok rozpostarł skrzydła. Był piękny. cały czarny, lśniący, pokryty mieniącymi się na zielono i srebrno łuskami. Jego ogromne oczy patrzyły na mnie smutno. Wydawało mi się nawet, że widzę w nich łzę.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze swojego imienia.
- Nazwała mnie Feratus.
- A dlaczego...?
- Dlaczego jestem smutny? - Smok odgadł moje niewypowiedziane słowa i opuścił głowę.
- Bo moim przeznaczeniem jest umrzeć. Widzisz czasem postacie umierają, nawet wtedy, jeśli one same tego nie chcą, a ja jestem dla niej tylko nieważnym epizodem. Musisz się z tym pogodzić.
- Nie! Nie pogodzę się z tym. Pogadam z nią! - postanowiłam stanowczo.
- Nie uda ci się. Nawet nie próbuj. Miło mi było z tobą porozmawiać. Żegnaj...

Postać smoka zaczęła rozpyływać się w powietrzu. Czułam jego obecność, lecz to odczucie było coraz słabsze. Feratus stał się wspomnieniem.

- Nie zabijaj mojego przyjaciela. Czemu to robisz? Czemu...? - krzyknęłam, przebijając się do świadomości Wiktorii.
- Przeszkadzasz mi. - mruknęła.
- Chcę ci przeszkodzić w zniszczeniu Feratusa. On...
- Coś ci się pomyliło. To jest mój pomysł. Ty jesteś moim pomysłem i gdyby nie ja w ogóle nie było by tu ciebie.

Wiktorii wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Za oknem świeciło. Białe promienie słońca oświetlały jej niewyspaną twarz i klawiaturę komputera. Popatrzyła na mnie.

- Wiesz co? - szepnęła. - Mam cię już dość. Nie wiem czym się stałaś ale boję się tego. Nigdy cię nie skończę.

Podeszła bliżej. Kliknęła myszką.

- Przepraszam - wyrwało jej się.

Powoli docierało do mnie co zamierza zrobić.

- Wiktorioooo!!! - rozdarłam się rozpaczliwie, ale ona już mnie nie słyszała.

Nacisnęła enter i moje literki zaczęły rozsypywać się po niebieskim ekranie. zamieniałam się w nicość. Ból rozdzierał mnie na strzępy. Rozpadłam na pojedyncze cząstki.

Umierałam. Ostatnia moja myśl błędziła wokół Feratusa.

Andrzej Górka

Po zawodach

Zawody skończyły się około osiemnastej. Krzysztof, niosąc na ramieniu wypchaną lekkoatletycznym sprzętem torbę, szedł powoli w stronę kolejowego dworca. „Siedzę sobie w Białogardzie” - to właśnie o tej stacji śpiewała przed laty gwiazda polskiej piosenki, w jednej ze zwrotek rodzimej wersji światowego hitu. Nie spieszył się, bo pociąg którym miał wracać do Poznania (na tamtejszym uniwersytecie prowadził zajęcia z pedagogiki ogólnej) odchodził dopiero za godzinę. Zatrzymał się przed witryną księgarni i obejrzał wystawione tam nowości. W kiosku z prasą kupił coś do czytania na drogę. Tuż obok mieściło się biuro turystyczne. Dopiero skończyło się lato, a kolorowe plakaty już zachęcały potencjalnych klientów do zimowego wyjazdu na narty. Kiedy dotarł na dworzec, do przyjazdu pociągu pozostawało jeszcze prawie pół godziny. Krzysztof kupił bilet, usiadł w poczekalni i kolejny raz powrócił wspomnieniami do wydarzeń sprzed lat.

Tamtego wieczoru nie opuszczało go uczucie jakiejś nierealności (podobnie czuł się kilka lat wcześniej, kiedy zupełnie niespodziewanie trafili razem z Agnieszką w deszczowe, sobotnie przedpołudnie na wykład znajomego historyka o średniowiecznych władcach Pomorza Zachodniego). Podczas przerwy międzysemestralnej prawie cała ich paczka zjawiła się w rodzinnym mieście i Aneta zaprosiła ich do siebie na kawę i sernik. Takie wizyty u niej czy u Kasi były już swego rodzaju tradycją i cieszyło ich, że cztery lata po maturze ciągle utrzymywali ze sobą kontakt. „Pokażę wam zdjęcia ze świąteczno-noworocznego wypadu na narty” – powiedziała w pewnym momencie Aneta i zanim jeszcze zaczęli je oglądać, Krzysztof w jakiś intuicyjny sposób zrozumiał, że coś bardzo dla niego ważnego właśnie się kończy. Nie pomylił się. Na prawie wszystkich fotografiach Anecie towarzyszył wysoki chłopak w niebieskim narciarskim kombinezonie i patrząc na ich roześmiane twarze nie można było mieć wątpliwości, że tworzą parę. Pół roku później powiedziała: „Wiesz, wychodzę za mąż”. Może zresztą użyła jakichś podobnych słów, a tylko Krzysztofowi utkwiły one w pamięci jako cytaty z pewnego słynnego poematu. Wkrótce po ślubie skończyła studia polonistyczne, a później przeprowadziła się z mężem do Krakowa. Krzysztof zrobił dyplom i wyjechał na dwa lata do Francji. Pracował tam w fundacji pomagającej osobom niepełnosprawnym. W jakiś czas potem wrócił na uczelnię i zrobił doktorat. Przez te wszystkie lata widział Anetę tylko raz – podczas klasowego zjazdu w dziesięciolecie matury.

Pociąg przyjechał punktualnie. Krzysztof bez trudu znalazł miejsce w przedziale drugiej klasy. Pomału zaczął odczuwać zmęczenie po biegu. Na pomysł zorganizowania tych zawodów „dla trochę młodszych weteranów” (najmłodszą oficjalną kategorią mityngów lekkoatletycznych weteranów była

bowiem „plus 35 lat”, a żaden z nich tego wieku jeszcze nie osiągnął) wpadł Jarek, nauczyciel WF i trener z Białogardu. Nie mieli może wielkich sukcesów seniorskich, ale jako młodzicy i juniorzy byli w swoim czasie liczącymi się w regionie sprinterami (Krzysztof na przykład kilka lat z rzędu stawał na podium mistrzostw województwa, zdobył też brązowy medal w szkolnych Mistrzostwach Polski), a i później nieźle sobie radzili w rywalizacji wyższych uczelni, które reprezentowali. Zawody na białogardzkim stadionie tradycyjnie kończyły sezon, a ich seria dołączona została poza konkursem. Oprócz Krzysztofa i Jarka, w tym biegu na 100 metrów wystartowali także: Jacek, zakonnik, Piotr, instruktor teatralny i dziennikarz (wszyscy pamiętali jego powiedzonko; „Ładnie, ale wolno”, którym w dawnych czasach odpowiadał na pytanie „Jak biegleś?”) oraz Marek, właściciel klubu bilardowego. Krzysztof, chociaż nie biegał regularnie, a tylko od czasu do czasu grał w tenisa i koszykówkę, zajął drugie miejsce, przegrywając jedynie z będącym w świetnej formie Jarkiem. Spiker zawodów, ich starszy kolega, w dowcipny sposób skomentował tę stumetrowkę, a całkiem spora grupa obecnych na zawodach kibiców nie szczędziła braw. Następne spotkanie na bieżni zaplanowali za rok, ale tym razem w Szczecinku.

Pomimo zmęczenia Krzysztof nie spał. Pociąg minął już rzekę oddzielającą Pomorze od Wielkopolski, a on po przeczytaniu prasy, sięgnął po tom opowiadań Hemingwaya, który kupił przed laty w antykwariacie i od tego czasu prawie zawsze zabierał ze sobą, gdy udawał się w dłuższą podróż. Kolejny raz zagłębił się w lekturze „Rzeki Dwóch Serc”. Było to jego ukochane opowiadanie z tego zbioru i uważał je za prawdziwe arcydzieło.

Na stacji w Rogoźnie do jego przedziału wszedł starszy mężczyzna. Zajął miejsce naprzeciwko Krzysztofa, wyjął z teczek książkę i także zaczął czytać. Była to powieść, a właściwie dłuższe opowiadanie (znane zresztą i także, a może przede wszystkim, ze swojej filmowej ekranizacji) „Samotność długodystansowca”. Krzysztof uśmiechnął się. „Długodystansowca? – pomyślał. Ja przecież jestem sprinterem.”

Iwona Jarocka

Świat należy do śmiałych

Pracując już od kilku dobrych miesięcy na stanowisku asystentki, Maja miała nierzadko okazję się przekonać, że jej szef jest jedyny w swoim rodzaju. Przede wszystkim dał się poznać jako choleryk, czyli w wielu przypadkach łatwo bywało go wyprowadzić z równowagi, przy tym jednocześnie w najmniej oczekiwanych momentach. Lubił, gdy wszystko szło po jego myśli, choć w niektórych okolicznościach sprzeciw był dopuszczany, na przykład gdy oponent ostatecznie ulegał sile jego argumentacji (zgoda nie musiała być natychmiastowa) bądź tolerował odmienne zdanie, ale trzeba było przy tym udowodnić własną rację, co zwykle wiązało się z naprawdę zaciętą walką.

Tak czy inaczej, Maja bardzo szybko doszła do wniosku, że bezpośrednia walka nie ma najmniejszego sensu, a co za tym idzie, grzecznie słuchała tego, co miał do powiedzenia, zarazem robiąc swoje, niekiedy wręcz rozmyślnie pomijając niedorzeczne rozkazy i życzenia. Zdecydowanie w ten sposób lepiej jej się pracowało. I bez wątpienia bywało tolerowane przez człowieka, który został jej szefem.

Równocześnie szef zapewniał Mai niezłą rozrywkę swoją nietuzinkową postawą. Chociażby wtedy, gdy twierdził z zasadniczą miną, że prawdziwy mężczyzna niczego się boi, czyniąc z tego praktycznie swoje motto. Z jednej strony Maja była przekonana, że mówi śmiertelnie poważnie, co zresztą w dość nietypowy sposób udowadniał. Natomiast z drugiej w tych słowach dostrzegała pewną drwinę, przynajmniej coś w tonie szefa wydawało się jej być alarmującego. Odnosiła wręcz wrażenie, jakby chciał ze wszystkich zakpić.

Tak to wyglądało z jej punktu widzenia.

I tak zinterpretowała pewne zdarzenie, które miało miejsce, gdy znienacka trzeba było przypilnować niespełna roczne dziecko. Zaczęło się od tego, że jego mama – informatyczka wciąż będąca na urlopie macierzyńskim – wpadła na chwilę do firmy, aby dopracować ostatnie szczegóły przy najnowszym oprogramowaniu. Wkrótce się okazało, że cała sprawa zajmie trochę więcej czasu, niż zakładała, zatem poprosiła, by maluchem zaopiekowała się jej koleżanka, która również pracowała w firmie. Tyle że ta nieoczekiwanie musiała wyjść i ku zdziwieniu wszystkich ośmieliła się podrzucić dziecko szefowi, ponieważ jako jedyny wydawał się być bez konkretnego zajęcia. Zgadząc na coś takiego bez większego oporu, wprowadził pracowników w nieliche zdumienie. Aczkolwiek na zachwyconego nie wyglądał, ale że dzieciak zachowywał się w miarę spokojnie – spał, nie narzekał, ani nie skomentował zaistniałej sytuacji. Miało być parę minut, ale skończyło się na półgodzinie.

Co ciekawe, nie przejął się nawet perspektywą zbliżającego spotkania z dwoma znajomymi, z którymi był umówiony. W każdym razie gdy nagle przybyli, dalej zabawiał malucha,

który przed chwilą się obudził. Zarówno Krzysztof jak i Bartek spoglądali na niego z przerażeniem, nie wierząc, że ktoś, kto na ogół pozował na prawdziwego macho, może bawić się w niańkę i to jeszcze bez żadnego skrępowania, ale za to z drwiącym uśmieszkim, jakby to on był panem sytuacji.

Oczywiście nie omieszkali o to zapytać, zachowując przy tym kpiąco-szyderczy ton:

— No, no... Za niańkę robisz?

— Ale znalazłeś sobie wyjątkowo męskie zajęcie — dodał z wyraźną złośliwością Bartek, jakby tym samym chciał mu się odwdziżyć za inną drwinę.

— Prawdziwy mężczyzna niczego się boi — prychnął prowokująco, nie dając się zbić z pantafiku i w ten sposób ucinając niemalże dyskusję. Wydawał się przy tym zupełnie nieporuszony, sugerując swoją postawą, że to naturalne, iż zajmuje się dzieckiem.

Obaj szybko się poczuili niepewnie i tak na wszelki wypadek postanowili udowodnić, że im też niczego nie brakuje, że również potrafią potrzymać dziecko. To znaczy: szczerze próbowali, bo im nie dał, stwierdziwszy, że to nie worek kartofli i jak chcą, to niech się biorą za własne. Na szczęście wkrótce pojawiła się mamusia, przerywając tę niezręczną sytuację.

Zdawałoby się, że nastąpił koniec owej historii, nie zdawszy sobie sprawy, iż ziarno zostało posiane, a wiadomo: w przyrodzie nic nie ginie.

Ten epizod musiał zrobić spore wrażenie na Krzysztofie i Bartku. Tym bardziej że później wybrali się we trójkę na piwo, gdzie nastąpiła dyskusja, która okazała się brzemenna w pewne skutki. W efekcie na Facebooku można było zobaczyć zdjęcia tej dwójki z dziećmi, a sami obnosili się z dumnymi minami, że oni to prawdziwi mężczyźni, którzy niczego się boją. Wobec tego jeśli trzeba, nawet dzieciom stawia czoło i to z uśmiechem na twarzy.

Przejęli się z tym wszystkim do tego stopnia, że jeden z nich – Krzysztof – podjął się pilnowania siostrzeńca, gdyż tego wymagały okoliczności. Jako że owa godzinka upłynęła mu względnie spokojnie, gdy mamusia malucha zadzwoniła, że jej powrót trochę się przeciągnie, nie robił żadnych trudności – skoro do tej pory radził sobie dobrze, zatem i dalej mógł. Biedak jednak nie miał szczęścia, bo ostatnie półgodziny wspominał jako koszmar – tak mu dzieciak dał się we znaki, odtąd drżąc na samą myśl, że ponownie mogłoby mu się coś podobnego przytrafić i stwierdziwszy przy tym, że bez kondoma to w życiu nie poważy się, bo choroby jak choroby, ale ciąży to on nie zaryzykuje. A sytuacja, w której znalazł się jego kolega, tylko utwierdziła go w tym przekonaniu.

Tak się złożyło, że Bartek wkrótce znalazł się w znacznie poważniejszych tarapatach, o czym zawiadomił swego przyjaciela pewnego popołudnia, wpadając do jego gabinetu wielce zdenerwowany, praktycznie na granicy hysterii. Parę razy coś tam zaczynał, zanim wykrztusił:

— Nie wiem, co robić. Nie ma dla mnie już życia.

— Rzucasz się z mostu, czy może z dachu? — spytała go Maja, pragnąc nieco rozładować sytuację.

Pytanie wytrąciło Bartka z równowagi do tego stopnia, że nie zwrócił uwagi na fakt, że asystentka podsłuchiwała rozmowę. Szef jedynie lekko się uśmiechnął, niczego nie komentując. Bartek spojrzał na Maję z zaskoczeniem, następnie oświadczył z rozpaczą:

— Żenię się... To znaczy, właściwie nie tak, ale... Tylko że muszę...

— Ktoś ci broń do skroni przykłada?

— Gorzej — zawył z desperacją. — Przyjaciółka w ciążę zaszła i nie ma dla mnie odwrotu.

— Prawdziwy mężczyzna? — zauważył nonszalancko szef.

— No właśnie! — przyświadczył zdecydowanie przyszły ojciec. — Co innego mogę zrobić? Nawet należycie się oświadczyłem, ale nie tak miało być, zupełnie nie tak! Co ja teraz zrobię?

Tydzień później Maja była świadkiem tego, jak zszokowany – może jeszcze bardziej niż ostatnio – Bartek wpadł do biura, niosąc w rękach całkiem spore pudło.

— Co to ma być? O co tu chodzi?

Skorzystawszy z okazji, Maja zajrzała do środka, a tam tak na oko znajdowało się z kilkadziesiąt harlequinów. Następnie zerknęła na szefa, który markował niewiniątko, na co nie dała się nabrać. Znowu coś kombinował.

— A co, nie potrafisz czytać? — mruknął, udając Greka. — Jeśli tak, to dobrze z tym się kryłeś, ponieważ się nie zorientowałem. To miał być prezent na nową drogę życia.

Bartek doszczętnie zgłupiał na te słowa, ale zaraz się popukał w głowę zniesmaczony sarkazmem przyjaciela.

— A ty, coś taki tępy nagle zrobił? — zaatakował z narastającą irytacją. — Pytam, dlaczego właśnie to? Co ci strzeliło do łba, by dawać mi harlequiny?! Uważasz, że czegoś dłuższego nie potrafisz przeczytać?

— Nie, po prostu te historie są adekwatne do tego, co ci się przydarzyło. Opowiadają o tych, co skakali z kwiatka na kwiatek, zażywając wolności i swobody, aż zdarzała się im wpadka z ciążą i lądowali w sidłach, szarpiąc się i tęskniąc za niemożliwym. Dokładnie jak ty, Bartek.

— Akurat!

— Wyobraź sobie jednak, że na koniec każdy z nich cieszył się z takiego obrotu sprawy i był w skowronkach — podsumował niemalże pocieszająco, następnie dodał z filozoficzną zadumą:

— Jest tam również mnóstwo przykładów, jak można się wyłgać z owej niezręcznej sytuacji, ale niestety wszystkie praktycznie zawiodły. I jeśli chcesz, możesz spróbować sklecić własną wersję i kto wie, może odniesiesz sukces na tym polu.

W odpowiedzi Bartek pokręcił ponuro głową i spytał boleściwym tonem:

— Jak w ogóle możliwe? Cięża? Jak do tego mogło dojść?

— To również zostało opisane, jak się odbywa — zauważył niewinnie, lecz nie potrafił powstrzymać się przed ironią. — Osobiście jednak polecałbym Kamasutrę, bardziej realistyczna.

Bartek obrzucił wyrodnego przyjaciela zde gustowanym spojrzeniem, dochodząc do wniosku, że więcej nie uzyska i odwrócił się, aby odejść. Z pudłem. Zaraz jednak się odwrócił, jakby wpadł na znakomitą ripostę:

— Zobaczmy, czy sam będziesz taki mądry, gdy wpadniesz.

Przyjaciół w odpowiedzi uśmiechnął się do niego jak usatysfakcjonowany polowaniem wilk. Jakby był ponad to albo jakby nic nie mogło go przerazić.

Po wyjściu Bartka Maja natomiast nie potrafiła się powstrzymać przed zagadnięciem szefa:

— Czy to rozsądnie go tak drażnić?

— Zważ, że nie życzę źle pannie młodej, tam nie było Palmer.

Wciąż jeszcze ogłuszony pan młody, czując się pokrzywdzonym przez los, niespecjalnie się migał przed przeznaczeniem, stanąwszy na wysokości zadania, poślubił przyszłą matkę swojego dziecka zgodnie z planem.

Nie wszystko jednak poszło gładko, ponieważ Bartek nadal nie wiedząc, co zrobić z nieszczęsnym pudłem książeczek, latał z tym, wyczyniając tak dziwne sztuczki, aż w końcu zaniepokoił swoją żonę, zaplątawszy się w kłamstwach. I co gorsza, małżonka nie chciała mu wierzyć, gdy już zdesperowany wyjawiał prawdę. Zrozpaczony zadzwonił do przyjaciela, aby go ratował, a jego asystentkę powołał na świadka.

— To wszystko twoja wina! — oskarżył przyjaciela na powitanie. — Ty to mi dałeś! I zobacz, co się stało?! Jeden przeczytałem i co? Szare komórki mi przeciążyło. Przecież zwyczajnie mógłby to spalić i nie doszłoby do tej idiotycznej sytuacji, i nie musiałbym tak głupio się miotać, i tłumaczyć.

— Przecież to taka relaksująca lektura — mruknął pod nosem sponiewierany przyjaciel.

— Maja, on naprawdę to czyta? — zapytał z wyraźnym niedowierzaniem.

— Owszem — przytaknęła spokojnie Maja. Małżonka Bartka chyba w końcu uwierzyła w jego wersję i uśmiechała się z narastającym rozbawieniem. — I używa tego jako broni.

— Nie żartujesz?

Maja pokręciła głową, uśmiechając się nieznacznie.

— To pewnie stąd biorą się twoje kretyńskie pomysły — stwierdził odkrywco. — Jesteś nienormalny.

— Niby jakie?

— A ten prezent, to co?!

— Przykład oryginalności. Bo przecież nikt więcej na to nie wpadł. Ha!

— Całe moje szczęście!

— Niewdzięcznik!

— Ciekawe, co sam powiesz na coś takiego?

— A co, masz jakieś rzadkie egzemplarze? — zapytał z wyraźnym zainteresowaniem, kompletnie nieprzejęty sarkazmem Bartka.

Maja nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jej szef mówi poważnie, czy też zwyczajnie się nabija z przyjaciela. Zarówno jedno, jak i drugie mogło być prawdą.

— Bartek, spokojnie — wtrąciła się dotąd milcząca żona. — Przecież nic się nie stało.

— Jak to nic?! W końcu podejrzewałaś mnie o nie wiadomo co!

— Bo zachowywałaś się podejrzanie i nie wiedziałam, co myśleć.

— Powiedz mi, do licha, kto chce się przyznawać do głupoty?

— Lepiej do głupoty niż wzbudzać coraz większe wątpliwości — zauważyła cicho Maja.

— Słuszne słowa.

— A ty, niby skąd o tym wiesz? — Bartek obrzucił przyjaciela podejrzliwym spojrzeniem. — Żonaty nie byłeś, a narzeczonej pozbyłeś się w trymiga.

— Jak to skąd? Z harlequinów — oświadczył z dumą.

— Ale narzeczona i tak cię opuściła — wytknął mu ze złością Bartek.

— Oczywiście. Osobiście o to się postarałem. Jak myślisz, po co jej machałem przed nosem intercyzą? Dobrze wiedziałem, o co jej naprawdę chodzi.

Maja tylko pokręciła głową, dobrze orientując się, że Bartek nie ma żadnej szansy przegadać szefa. Wkrótce sam się przekonał, zresztą po raz kolejny, lecz nie wydawał się specjalnie tym przejęty, ponieważ w końcu do niego dotarło, że żona mu wierzy i niczego więcej nie potrzebował.

Jarosław Słoma

Składnica

W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Nie ma się czemu dziwić, w końcu żadnego okna nie było, a o jakiejś wentylacji można było tylko pomarzyć. Jedynym źródłem światła były zimne jarzeniówki rozmieszczone gdzieś wysoko pod sufitem. I bez niego pomieszczenie Składnicy wydawało się upiorne i martwe. Teraz natomiast zyskiwało jeszcze przygnębiającego charakteru. Zresztą jak inaczej mieli się czuć, czekając na... No właśnie nie wiadomo na co. Ta niepewność i oczekiwanie było najgorsze i działało o wiele lepiej niż najbardziej wymyślne kajdany czy inne zabezpieczenia. Nawet warunki w jakich byli przetrzymywani nie były tak straszne jak oczekiwanie. A ciężko nazwać te warunki humanitarnymi. Poupychani ciasno przy ścianie jak jakieś przedmioty, jeden obok drugiego tak, że o jakimś ruchu można tylko pomarzyć. Bok przy boku, grzbietami w stronę środka pomieszczenia. A na każdym grzbiecie wyryte imię. Wyryte tak głęboko, że nie ma szans na zagojenie się.

W takim oto miejscu znalazł się Dmitrij, gdy odzyskał świadomość. Obok siebie miał Michaiła i Fiodora, dwóch weteranów Składnicy. Obaj sami stracili poczucie czasu już dawno temu. Godziny zlewały się w dni, a one z kolei w miesiące i lata. Przez cały ten okres oczekiwania nigdy nie spoczęli. Zawsze na baczność, bok przy boku, grzbiet przy grzbiecie. I tylko wzajemne rozmowy sąsiadów pozwalały na zachowanie zdrowych zmysłów. Dymitr dowiedział się od starszych kolegów, że jest ich tu więcej. W tej części Składnicy prawdopodobnie przebywali tylko Rosjanie, lecz byli i inne przedziały. Każda nacja miała tu swoich przedstawicieli. Amerykanie, Włosi, Polacy, Niemcy a nawet Hiszpanie. Co za chory umysł zebrał ich wszystkich w jednym miejscu. Czyżby byli eksponatami w kolekcji jakiegoś psychopaty? Jeżeli tak, to na pewno nie zadowala się tylko oglądaniem swoich zbiorów. Czasem słyhać było kroki przemierzające Składnicę i zatrzymujące się to tu, to tam. Ktoś ich obserwował i oceniał niczym zwierzęta w zoo. Lecz patrzenie nie zawsze wystarczało. Za wzrokiem, który ich omiatał szły nieraz i dłonie, które gładziły ich poorane grzbiety, napawając się każdą wypukłością i zagłębieniem. Bardzo rzadko, taka pobieżna pieszczota była tylko wstępem. W tych przypadkach nieszczęśnik zostawał wyciągnięty z szeregu i zabrany. Po jakimś czasie wracał, lecz nigdy nie taki jak wcześniej. I nie chodzi nawet o to, że niektórzy powracali "niekompletni". Brak lub uszkodzenie jakiejś części było rzadkością, lecz można się było z tym pogodzić. W końcu czego się spodziewać po psychopacie. Gorsza jednak była pustka, której doświadczał każdy wybraniec. Jakby zabrano im bardzo istotną część jestestwa. Część duszy, którą siłą wyrwano. To tego obawiał się każdy z towarzyszy niedoli. Obawiał się tak bardzo, że chciał wyć i krzyczeć na całe gardło. Wzywać pomocy i zmiłowania Bożego. Jednak całe swoje cierpienie i frustrację przeżywali w ciszy. Tak, cisza była wszechogarniającym stanem w Składnicy. Krążyły legendy, że ktoś kiedyś złamał ten najstarszy niepisany zakaz i został

odesłany. Jako jedyny nigdy nie wrócił. Drugiego takiego przypadku już nie było. Tak więc cisza, ostrożne szepty sąsiadów oraz czasem kroki przecinające ten spokój.

I to kroki właśnie wyrwały Dmitrija z zadumy. Minęło może kilka dni od przebudzenia, a jemu już zaczęły się zlewać w bliżej nieokreśloną jednostkę czasu. Wysłuchiwał dostatecznie wiele historii, aby być przerażonym samą perspektywą, że ktoś się zbliża. A zbliżał się bezsprzecznie. Kroki, najpierw odległe z każdą chwilą przybierały na sile. Bez wątpienia ktoś podążał dokładnie w jego kierunku.

- No, szukaj się młody - szepnął Fiodor - Chyba nadszedł twój czas. Dmitrij nerwowo zerknął na towarzysza. Jak to, jego czas? O co mu chodzi?

- Nowi zawsze są zabierani w pierwszej kolejności- odparł z drugiej strony Michaił, jakby czytał w jego myślach. - Bądź dzielny.

Po tych słowach zamilkł. Dmitrij cały zeszywniał i uzmysłowił sobie, że nastała cisza. Kroki ucichły, lecz poczuł, że ktoś stoi tuż za nimi. Stoi i się zastanawia. Usłyszał jeszcze, jak nieznajomy mruczy pod nosem "Między Bułchakowem, a Dostojewskim. Bułchakowem, a Dostojewskim. O, jest". A później obca dłoń spoczęła na jego grzbiecie.

Wojtek z uśmiechem na twarz wracał z biblioteki. Nareszcie udało mu się dostać tę najnowszą książkę Głuchowskiego. Spoczywała teraz w jego plecaku, a on sam nie mógł się doczekać, gdy w końcu się do niej dorwie. Był tak podekscytowany, że z jego pamięci już zniknęło dziwne uczucie, gdy brał książkę z półki. Jakby stawiała opór.

Paulina Drąg

Upadek okcydentalnej książki

Gliniana tabliczka, papirusowy zwój, pergamin, kodeks, wreszcie książka elektroniczna. Książka od początku była drogą ujęcia dla wyników ludzkich procesów myślowych, jest wiekowym tworem cywilizacji. Przeszła wiele zmian, nie tylko transformację w zakresie formy.

Dzisiaj słysząc „książka”, myślimy „beletrystyka”. Wartość książki w kręgu kultury łacińskiej spada. W czasach pozornego egalitaryzmu każdy obywatel ma dostęp do książek, czy to przez zakup w księgarni, czy wypożyczenie w bibliotece lub od znajomych/rodziny. To nie wszystko. Dzisiaj każdy może książkę wydać. Self publishing ciągle jest w naszym kraju zjawiskiem nowym, raczkującym. Wystarczy zapoznać się z ideą tego ruchu, żeby dojść do wniosku, że self publishing zabija literaturę. Przyjrzyjmy się samopublikowaniu bliżej. Istnieje kilka „odmian” tego proceduru, jednym z nich jest Vanity publishing. W tym przypadku „wydawca” jest skłonny zatroszczyć się o druk, oprawę, nadanie ISBNu i rozpowszechnienie publikacji po bibliotekach, jeśli autor zapłaci mu więcej niż wynosi koszt produkcji. „Wydawcy” trudniący się tego typu działalnością mają w zanadru wiele psychologicznych trików, mających przekonać potencjalnego autora z grubym portfelem do publikacji „dzieła”, kusząc np. perspektywą sławy. Tego typu obietnice wydawców można spokojnie wrzucić do kosza. Spójrzmy na statystyki wydawnicze. Według Biblioteki Narodowej, w 2012 roku wydano ponad 34 tysiące tytułów natomiast w 2008 roku tytułów było ponad 28 tysięcy. Ewidentnie widać tutaj tendencję wzrostową. Warto jeszcze zaznaczyć, że te statystyki oparte są o wpływy Egzemplarza Obowiązkowego do biblioteki, a ten ustawowy obowiązek często nie jest respektowany przez wydawców. Spójrzmy teraz na statystyki czytelnicze dla Polski. W 2010 roku 12% Polaków przeczytało więcej niż 6 książek. 56% deklaruje, że nie zajrzało w ciągu roku do żadnej książki. Warto też zauważyć, że jeśli już ktoś po książkę sięga, to raczej po pozycje zagraniczne, szeroko reklamowane, lub pozycje o ugruntowanej pozycji, np. klasykę literatury. Zatem jaki sens, poza nabiciem kabzy wydawcy oraz zaspokojeniem ego „autora” ma samopublikowanie? Ciężko mi tutaj znaleźć jakiegokolwiek pozytywy. Nawet popularna argumentacja że czytanie, nieważne czego wzbogaca słownictwo czy pomaga w rozpowszechnianiu poprawności językowej nie ma w tym przypadku racji bytu. Z prostej przyczyny – z autopsji wiem (a czytałam fragmenty kilku popularniejszych, polskich selfów) że „wydawcy” ci często oszczędzają na korekcie, w efekcie dostajemy książki z błędami stylistycznymi, merytorycznymi a nawet (sic!) z literówkami.

Paradoksalnie to przekonanie o elitaryzmie czytania napędza falę samopublikowania. Analfabetyzm w Europie oscyluje w okolicy 3 %, można zaryzykować twierdzenie, że każdy umie pisać. Wydanie własnej książki jest zatem kuszącą perspektywą.

Autorzy mających na koncie wiele publikacji wydanych w tradycyjny sposób radzą, żeby odkładać swoje teksty do przysłowiowej szuflady. Odłożyć na miesiąc, dwa, żeby nabrać dystansu do swojego tekstu, pozbyć się uczucia zachwytu towarzyszącemu tworzeniu. Będąc debiutantem chcącym wydać coś w sposób tradycyjny, trzeba być cierpliwym. Wysłanie tekstu do wydawcy i wydanie książki dzieli sporo czasu. W większości przypadków, jest to cała wieczność. Dosłownie. Potencjalny autor ma dużo czasu, żeby przemyśleć swoją decyzję.

Żyjemy dzisiaj w dobie natychmiastowego dostępu, zwłaszcza do informacji. Niecierpliwiimy się nie dostając zwrotnego mejla w ciągu godziny, narasta w nas irytacja, kiedy strona ładuje się dłużej niż 5 sekund. Ta tendencja przenosi się na całe nasze życie, w tym i na rynek wydawniczy. Młody autor, wysławszy „dzieło życia” do wydawcy nie chce czekać kilku miesięcy na odpowiedź, lub co bardziej prawdopodobne, jej brak. Możliwe też jest, że młody człowiek z podjudzonymi ambicjami, dostawszy odpowiedź negatywną nie jest w stanie przyjąć do wiadomości, że jego „dzieło” zwyczajnie nie prezentuje wartości literackiej. Młody człowiek, który nasłuchiwał się równie popularnego, co bzdurnego powiedzenia „o gustach się nie dyskutuje”, przeszedł byle jaki proces edukacji, nieświadomy tego, że literatura dzieli się na dobrą i złą, sięga po rozwiązanie *ad hoc* jakim jest samopublikowanie i zaspokaja swoje ego, zaśmiecając tym samym rynek.

Dlaczego zaśmiecając? Czy ten młody człowiek nie ma prawa spełniać swoich marzeń? Zapyta ktoś. Ależ ma. Tylko niech nie robi tego kosztem literatury. Istnieje wiele innych, mniej inwazyjnych w kulturę sposobów artystycznego wyżywania się, np. coraz popularniejsze blogi. To jest istotą Webu 2.0, dwukierunkowa komunikacja na linii twórca – odbiorca, która może dostarczyć młodemu człowiekowi z literackimi aspiracjami krytyki od potencjalnych odbiorców, która pomoże w samodoskonaleniu się. Warto pamiętać o jeszcze jednej ważnej zasadzie. Nie pisze się dla siebie, pisze się dla ludzi.

Mentalność ludzka nie nadąza za faktami. Książka przestała być towarem elitarnym, dziś jest raczej produktem, można powiedzieć, że „wisi” pomiędzy zwykłymi towarami, a sztuką. Ale w świadomości ciągle jest czymś więcej niż rozrywką dla mas, często niesłusznie.

Karol Szczerba

Pan

– Hej Maurycy, kartek zabrakło?

– Co jest szefie?

– Kartek zabrakło! Ogłuchłeś baranie? Przynieś jeszcze ze sto!

– Panie, ale więzień napisał tylko te dwadzieścia, które właśnie przeczytałeś.

– Idź do niego i każ mu pisać szybciej. Jeżeli to nie poskutkuje zagroź, że włączysz telewizor w celi!

Maurycy ruszył w stronę lochów maskując uśmiechem swoją niepewność i strach, który wzbudził Pan swymi ostatnimi słowami. Zagłębił się w wąski ciemny tunel prowadzący do jedynej celi w zamku. Siedział w niej ostatni człowiek na Ziemi używający swej wyobraźni do stwarzania nieistniejących historii i opisywania ich w ciekawy sposób. Cella była całkiem spora, jakieś 3 metry na 6. Stało w niej biurko i polowe łóżko a na ścianie wisiał telewizor. Był to już drugi egzemplarz. Pierwszy zniszczył lokator tego prywatnego więzienia za co został ukarany zakryciem niewielkiego okienka i odebraniem jedynej lektury jaką posiadał. Była to strona z ofertami pracy z Kuriera Porannego. Czytał ją codziennie przed zaśnięciem i tworzył w wyobraźni niesamowite historie.

Ostatnia traktowała o ekipie do dociepleń, która przemierzała kosmos już od wielu lat bezowocnie poszukując nadającej się do zasiedlenia planety. Po dwudziestu latach podróży – w dwa lato po śmierci brygadzysty, który nie wytrzymał i z braku zajęcia zamurował się w kącie – odnaleźli ją. Było na niej prawie wszystko czego potrzebowali: nagie kobiety, grill, fajki i piwo... Musieli jednak ruszyć dalej. Zabrakło na niej niedocieplonych wieżowców. Czasem gnębiły go koszmary minionych dni. Wciąż miał przed oczami sobotnie wiadomości wieczorne z 18 listopada, w których minister Świata ogłosiła, że zakończono właśnie ostatni etap cyfryzacji Ziemi.

– Nie potrzebujemy już książek ni zeszytów. Mamy laptopy – powiedziała. Pamiętał jej uśmiech, blask jej sztucznych zębów i tępe, martwe spojrzenie gdy ku uciesze licznie zgromadzonej gawiedzi, likwidowała ostatni osiedlowy antykwariat, ukryty na parterze zapomnianego przez ludzi handlowca. I gdy już cała wiedza ludzkości zapisana była na nośnikach cyfrowych Zdzisiu z Vf zaproponował na fejsbuku czalendź: „Czy twój komp zadziała pod wodą?” Na jutubie zaczęły pojawiać się filmiki amatorów podwodnej informatyki a w telewizyjnych wiadomościach głośno było o nowej formie rozrywki.

Dość powiedzieć, że ostatni komputer utopił się w dwa lata po rozpoczęciu akcji.

W czwartek 2 grudnia ludzkość obudziła się z ręką w nocniku. Politycy próbowali uspokajać sytuację pocieszając wyborców, że przecież wszystko mamy zapisane na płytach DVD i pendrajwach.

Jeden z ministrów Świata chwalił się nawet, że sam posiada pełną instrukcję budowy laptopa na swoim penie, potrzebny mu jest jedynie sprawne wejście USB 4.0, niech mu je ktoś da... ale takowego już nie było. Ludzie zaczęli szukać papierowych instrukcji, może jakieś się ostały.

Jedyną znalezioną była książeczka w dwudziestu językach traktująca o tym jak podłączyć mysz oraz o tym jak jej nie podłączać. Potem nastały czasy wojen. Ci którzy mieli broń walczyli o tych, którzy mieli dobrą pamięć i wiedzę. Jednym z tych drugich był uwięziony przez Pana – Stefan Pisarczyk. Pisarczyk był z jednej strony więźniem a z drugiej byt tu z własnej woli. Miał przecież tyle okazji do ucieczki ale z nich nie skorzystał.

Po tym jak na Ziemi zabrakło materiałów do produkcji papieru, jedynym miejscem gdzie było go pod dostatkiem było miejsce jego niewoli. Złapał go i uwięził ostatni amator zapachu świeżo wydrukowanej książki, właściciel wielu ryz papieru do pakowania świeżego mięsa i wędlin – Pan. Pan był także właścicielem ostatniego sprawnego długopisu - obiektu westchnień Stefana.

Mikołaj Jankowiak

Biblioteczka

Słońce powoli zachodziło za horyzontem, wprowadzając do pokoju Agaty coraz mniej światła. Ta z kolei wykrzywiła się gwałtownie w swoim łóżku próbując złapać na kartkach książki ostatnie promienie słońca. Nigdy nie była fanem sportów, tym bardziej tak ekstremalnych jak wstanie z łóżka i włączenie światła podczas czytania. Czytanie było jej pasją, a jej biblioteczka powiększała się o nowe dzieło co kilka dni. Na początku nie było z nią problemów, jednak dopiero gdy Henryk, ojciec Agaty wszedł do pokoju i zobaczył stosy książek równo poukładanych koło malutkiej biblioteczki postanowił działać. W dniu swoich siedemnastych urodzin sprezentował córce własnoręcznie robioną biblioteczkę ścienną w której miała dość miejsca na swoje ukochane książki. Biblioteczka ta pełniła swoją funkcję doskonale, a Agata mogła oddać się swojej pasji całkowicie. Już dzień po urodzinach wyznaczyła na niej strefy dla każdych książek które czytała. Było miejsce dla mrocznych kryminałów, wyciskających łzy romantycznych opowieści, poważnej literatury naukowej, było również miejsce dla dramatycznych dramatów, fantastycznej fantastyki i poetycznej poetyki. Kochała je wszystkie, bez wyjątku. Jednak gdy po raz kolejny wykręciła się w łóżku usłyszała głos swojej matki wołającej z dołu.

- Skarbie, Piotrek przyjechał! - krzyknęła głośno, zbyt głośno jak na dzielącą je odległość. Zawsze tak robiła, co zawsze denerwowało Agatę.

- Niepotrzebny obciach - burknęła, szukając swojej zakładki z króliczą łapką zapodżianą gdzieś w pościeli po czym odłożyła książkę do biblioteczki do specjalnej strefy: „Do Przeczytania”.

- Już idę! - krzyknęła równie głośno, nie gorzej niż jej mama. Szybko poprawiła bujne kasztanowe loki, podniosła z biurka okulary o okrągłych szklach i założyła je na nosie.

- Jak zawsze pięknie - powiedziała do siebie poprawiając włosy oraz fiołkowy sweterek.

- Już, już! - krzyknęła po raz drugi wiedząc że jeśli tego nie zrobi, jej matka zrobi to za nią, a to był obciach. Po podsumowaniu swojego, jakże schludnego wyglądu, wybiegła z pokoju praktycznie trzaskając drzwiami. Jednak biblioteczka Agaty miała jeszcze inną oprócz nośnej właściwość. Ożywiała bowiem znajdujące się na półkach książki, a te dzień w dzień obserwowały Agatę swoimi papierowymi oczyma. Jednak prawdziwa dyskusja zaczynała się dopiero w chwili, gdy zainteresowana opuszczała pokój.

- Ach! Ta miłość, tak pięknie jest patrzeć na zakochanych w prawdziwe uczucia ubranych - zaczął Tom Poezji Miłosnej, Tomikiem tytułowanym przez zebranych.

- Daj spokój, Tomiku, miłość to nic innego jak reakcja chemiczna zachodząca w mózgu, przez którą dochodzi do załamania postrzegania rzeczywistości zakażonego - wtrąciła się Encyklopedia Medycyny Powszechnej, którą to Agata kupiła, gdy chciała wyjaśnić targające nią uczucia. Przez ciągle popisywanie się wiedzą była złośliwie nazywana Psorką.

- A więc miłość to infekcja? Doprawdy, Psorko, jak na tak mądrą książkę jak Ty, takie głupoty opowiadać - Sensacja nie przepadała za Psorką z prostego powodu, Psorka twierdziła, że jest nielogiczna, i że posiadanie fabuły zobowiązuje.

- Stwierdzam fakt, Sensacja. Jeśli tego nie zrozumiesz, nie będę Cię winić - odparła szorstko Psorka.

-Och! Zwady i właśnie wam tylko w głowie moje panie, a tak naprawdę nic się nie stanie, jeśli podacie sobie okładki na zgodę i wnet przestanie wiać tym chłodem.

-Zamilcz, Tomiku! - krzyknęły obie gromko, zauważając, że miały na jego temat takie samo zdanie. Może jednak miały coś wspólnego.

- Ależ drogie panie - wtrącił się kolejny uczestnik debaty, Fantazym zwany - nie ma co biednego Tomika karcić, taka jest przecież jego natura. Fantazy z kolei, pochodził z rodziny fantastyki. Był lubiany przez każdego ponieważ jak to fantastyka, zwinnie łączył elementy prawdziwe z tymi mniej lub bardziej prawdopodobnymi. Gdy zobaczył, że wszyscy już grzecznie ustawili się na półkach, znowu przemówił:

- Mamy nowego gościa. Niebawem dołączy do naszego grona, więc wypadałoby się z nim przywitać, nie sądzicie? - wszyscy przytaknęli Fantazemu. Uzyskaną aprobatą postanowił posłużyć się należycie.

- Witamy cię w naszych skromnych półkach, nieznajomy. Mam nadzieję, że wcześniejsza dysputa nie zniechęciła cię do nas - powiedział ochotczo Fantazy

- Do wszystkich producentów! Nareszcie ktoś zwrócił na mnie uwagę. Już myślałem, że o mnie zapomnieliście, a przecież o kimś takim jak ja nie powinno się zapominać - odparł szybko przybysz

- Proszę nam wybaczyć tą niestosowność kolego. Właśnie... jak kolegę mamy tytułować? - Fantazy szybko pozbierał się po tym dobitnym towarzyskim ciosie.

- Phi! Cóż to za maniera! Nie wiecie nawet z kim macie do czynienia? Jam jest najnowszym Bestsellerem w dziejach tego świata! Powinniście mi tu huczne powitanie odstawić, godne mej zawartości. - Przybysz naburmuszył się niczym paw, uważnie przyglądając się słuchaczom.

- To będzie dobre - pomyślała Sensacja. Fantazy pozostał niewzruszony.

- A z jakiego gatunku, rodziny znaczy, wywodzi się waszmość? - zapytała Psorka z istic profesorskim tonem

- Najlepszego jaki tylko być może na tym świecie, ale wam, chłystki, tego nie zdradzę. Nie uważam was za godnych bycia moimi podwładnymi. - Wypowiedź Bestsellera rozdrażniła wszystkich, jednak tylko po Sensacji było to widać. Machnięciem okładki Fantazy dał jej znać żeby trzymała nerwy na wodzy, postanowiła posłuchać.

- Układać się! - krzyknął Fantazy. - Słyszę jak ktoś biegnie po schodach i lada chwila tu będzie.

- Więc introdukcję mamy za sobą, bo nie interesują mnie wasze tytuły. Zobaczycie, jak pani Agata skończy mnie czytać, wnet pozbędzie się was wszystkich. - wygłosił, po czym położył się z powrotem na półce nie zwracając uwagi na inne książki.

Agata wpadła do pokoju jak duch, szybko przeszukując łóżko wyraźnie czegoś szukając. Po chwili zatrzymała się w zadumie i pacnęła się w głowę.

- Ale jestem głupia - rzekła surowo do siebie odwracając się w stronę biblioteczki. Szybkim ruchem wzięła do ręki jej najnowszy nabytek i zbiegła po schodach ponownie trzaskając drzwiami którymi weszła. Po chwili ciszy jaka ponownie zapanowała w pokoju odezwała się Sensacja
- A to gbur jeden! Musimy coś z nim zrobić, bo ja nie mam zamiaru słuchać jego gdakania całymi dniami.
- Wyjątkowo się z Tobą zgodzę, Sensacjo - niespodziewanie odezwała się Psorka - jednak co mamy począć? Tak jak my jest własnością Agaty i nie możemy go zniszczyć - dodała po chwili.
- Jest pewien sposób - rzekł Kryminał, który do tej pory tylko przyglądał się całej scenie. Był pierwszą książką którą Agata przeczytała dla przyjemności, nie z obowiązku. Bowiem czytanie było pasją Agaty od dobrych czterech lat. Nie spodobało mu się to co usłyszał podczas rozmowy
- Co sugerujesz, Kryminale? - zapytał Fantazy
- Zapomnienie - odparł krótko. Sensacji i Psorce zmroziło końcówki okładki, gdy to usłyszały. Wiedziały bowiem, co to znaczy być dziełem zapomnianym, zapodzianym gdzieś w magazynie, czekającym z niecierpliwością aż ktoś w końcu go przygarnie.
- Nie uważasz, że to za dużo? Co prawda zachowuje się jakby był należytym władcą tej biblioteczki, ale żeby go od razu na zapomnienie skazywać? - Psorka nie była zadowolona z tego pomysłu. Podobne zdanie miały zresztą inne książki
- No, może nie całkowite ale częściowe - zaczął wolno Kryminał, drapiąc się po stronie tytułowej - pamiętacie tą wnękę za biurkiem Agaty? Według mnie raz, dwa i po kłopotcie, od razu by spokorniał.
- Jeśli Agata znalazłaby go po dniu, bądź dwóch nie miałabym nic przeciwko - rzekła Sensacja patrząc na resztę.
- Nauka poprzez bodźce zewnętrzne - nie jest to głupi pomysł - wrzuciła Psorka
- Mnie w to nie mieszajcie! Nie na moje strony przemocy używać - burknął Tomik, po czym wrócił do siebie.
- A jeśli go nie znajdzie? - zapytał Fantazy - co wtedy?
- Wtedy sami wskażemy jej gdzie leży, co wy na to? - Sensacja, Psorka oraz Fantazy przytaknęli Kryminałowi.
- Plan jest taki: jak wiecie Agata lubi czytać do późna przy biurku i często zostawia wtedy nas właśnie tam. W nocy, gdy będzie spać, podkradniemy się tam i wrzucimy tego zgreda za biurko. Wszystko jasne? - reszta przytaknęła ochoczo.
- Znowu idzie, prędko, układać się! - Fantazy jak zwykle nie zawiódł.

Chwilę później do pokoju weszła Agata, odkładając Bestsellera na biurku. Szybko przebrała się w piżamę i wzięła Bestseller do ręki zapalając jednocześnie nocną lampkę. Czytała długo. Gdy po raz kolejny przeciągnęła się ziewając, stwierdziła że czas spać. Zostawiła książkę na biurku, gasząc tylko lampkę. Odnoszenie książki na półkę znajdującą się trzy metry od niej, podczas gdy ma łóżko pod nosem wydało jej się niemożliwe z punktu widzenia praw fizyki. Łóżko przyciągało ją w tej chwili o wiele bardziej. Z tą myślą zanurkowała w pościeli i po paru minutach walczenia z własnymi

myślami zasnęła. Nie podejrzewała nawet, że dziś w nocy, dojdzie w jej pokoju do „sądu książkowego”. Był już po północy, gdy Sensacja, Psorka, Fantazy z Kryminałem na czele przedzierali się przez trzymetrowy odcinek podłogi. Na biurku spokojnie spał Bestseller.

- Nawet jak śpi to wygląda na gbura - wyszeptała Sensacja.

- Nie na długo - rzekł Kryminał. - Fantazy, miej oko na Agatę. Psorko, włącz lampkę nocną.

- Już! - Oślepiające światło padło tuż nad Bestsellera, wyrwijając go ze spokojnego snu. Nie mógł jednak krzyczeć, bo kryminał przytrzymał mu usta i nakazał milczeć. Wystraszony i oślepiiony usłuchał bez najmniejszego protestu. Widział tylko cztery czarne sylwetki stojące naprzeciwko niego. Jedna podeszła szybko i zakneblowała mu usta.

- Bestsellerze, za swoje zachowanie zostajesz skazany na banicję! Wróć, kiedy przemyślisz swoje zachowanie. - Wykrzywiony wyraz jego okładki okazywał raczej przerażenie, aniżeli wyższość prezentowaną wcześniej. Bez chwili namysłu został wzięty i wrzucony za biurko Agaty. Cichy huk rozległ się po pomieszczeniu a dziewczyna, nieświadoma całej sytuacji, spała jak zabita. Książki po chwili zadumy wróciły na swoje miejsca na półkach, gdzie w ciszy doczekały kolejnego ranka. Agata zbudziła się wcześniej i od razu zauważyła, że książka, którą położyła na biurku poprzedniego wieczoru zniknęła. Była dosyć zmęczona wczoraj, więc myślała, że odstawiła ją w innym miejscu.

Tego dnia w domu państwa Norskich panowała pochmurna pogoda. Agata była smutna, bo nie wiedziała gdzie zostawiła swoją książkę. Na domiar złego ojciec Agaty miał kiepski dzień w pracy. Również w biblioteczce panowała atmosfera nie lepsza niż ta w całym budynku. Sensacja miała wyrzuty sumienia. Z początku zgodziła się na to, bo w końcu coś się działo, a poza tym i tak nie przepadała za nowym przybyszem. Jednak gdy nastał nowy dzień, myśl o tym, że musiał on tam spędzić całą noc i teraz przeszło pół dnia nie dawał jej spokoju. Psorka oraz Fantazy również mieli wątpliwości podczas gdy Kryminał pozostał niewzruszony.

Nastała kolejna noc. Agata wcześniej niż zwykle położyła się spać. Tymczasem w biblioteczce wywiązała się kolejna rozmowa.

- Dłużej tego nie zniosę - powiedziała wcale nie cicho Sensacja - powinniśmy go wypuścić

- Rozumiem, co czujesz, ale wiesz dobrze, że bez tego nadal będzie zachowywał się jak gbur - uspokajał ją Kryminał

- Sensacja ma rację - powiedziała po chwili namysłu Psorka, zauważając, że od czasu przybycia nieznajomego ciągle przyznaje jej rację - wypuśćmy go!

Kryminał rozłożył strony wdychając i patrząc na Fantazego

- Od Ciebie zależy decyzja, Fantazy. Jakby nie patrzeć nie jestem waszym liderem, więc stosujemy demokrację. Według mnie powinien tam jeszcze pobyć trochę czasu. Sensacja oraz Psorka są temu przeciwnie. Jakie jest Twoje zdanie? - Fantazy skrzyżował strony na piersi długo się zastanawiając. W końcu przemówił:

- Chodźmy go wypuścić. Powinien już zrozumieć swoje zachowanie. - Kryminał westchnął z dezaprobatą. Nic nie mógł poradzić - był sam przeciwko trzem. Wszyscy szybko udali się do biurka Agaty. Kryminał zajrzał za biurko i ujrzał omotanego kurzem Bestsellera.

- Przemyślałeś swoje zachowanie, młodziku? - zaczął szorstko. Długo na odpowiedź nie czekał

- Tak, rozumiem, popełniłem błąd wywyższając się nad wami. Już tego nie będę robić, przysięgam, tylko mnie stąd wypuście. Błagam was, kurz wsypał mi się między kartki!

- Nie krzycz. Zostanę tu żeby wskazać Agacie miejsce twojego pobytu. Musisz tu wytrzymać jeszcze jedną noc – powiedział, po czym dał znać reszcie, że może już wracać do biblioteczki.

I tak minęła kolejna noc w domu państwa Norskich. Następnego dnia zaspana Agata zorientowała się że jedna z jej ulubionych książek leży na biurku. Leżała oparta o ścianę ukazując lukę, której wcześniej Agata nie dostrzegła. Gdy tam zajrzała, ujrzała jej zagubiony Bestseller, na co ucieszyła się niezmiernie. Z werwą małego buldożera odepchnęła biurko i wydobyła swoją książkę.

- Więc tutaj byłeś cały czas - powiedziała jakby do niej podczas oczyszczania książki z kurzu - musisz podziękować swojemu koledze. To on pomógł mi cię znaleźć. - Wskazała na leżącą na biurku powieść kryminalną. Szybko dopchnęła biurko do ściany, likwidując wcześniej powstałą wnękę.

- To powinno załatwić sprawę - pomyślała wyraźnie zadowolona z siebie.

Nową książkę ukończyła jeszcze tego wieczoru, znajdując dla niej jej miejsce w strefie dla powieści romantycznych. Besti, złośliwie nazwany przez Sensację nie sprawiał już problemów. Okazało się nawet, że kawał z niego dobrej lektury.

Agata będąc w łóżku odwróciła się w stronę swojej biblioteczki.

- Kocham was wszystkich - wyszeptała i zasnęła.